

Nadzieja ma kolor czerwony

1 lipca 2017

Jeremy Corbyn udowodnił, że w polityce wszystko jest możliwe. Tchnął nowe życie w Partię Pracy i sprawił, że lewica znów odgrywa istotną rolę w brytyjskiej polityce.

To nie miało prawa się zdarzyć. Ale się zdarzyło. Pomimo wojny domowej w partii, ciągłego kwestionowania przywództwa, jawnej wrogości większości mediów i niesprzyjających sondaży, Jeremy Corbyn dziś triumfuje. Co prawda nie wygrał wyborów, ale osiągnął sukces. Polityczny i osobisty. Zamknął usta krytykom i udowodnił, że bezkompromisowym, radykalnym, lewicowym programem można stanąć w szranki z potężną konserwatywną machiną. I niemal zwyciężyć.

Owszem oczekiwania były niskie. Jeszcze kilka tygodni temu w sondażach Partia Konserwatywna górowała nad Labour. Różnice sięgały niemal 20 proc. Corbyn nie cieszył się zaufaniem opinii publicznej, która nie widziała w nim materiału ani na lidera partii ani tym bardziej na premiera. Nastroje w Partii Pracy były podłe. Jeszcze przed ogłoszeniem exit polls wielu polityków Labour spodziewało się katastrofy i utraty miejsc w Izbie Gmin. To miała być klęska. Jednak w czwartkowy wieczór Labour zamiast tracić zyskiwała. Niespodziewanie zwiększyła liczbę mandatów o 30. Włączając w to takie „socjalistyczne” okręgi jak np. Canterbury, które było terenem Torysów od końca XIX wieku. Szok był tak duży, że niektórzy z czołowych działaczy Labour zaczęli nawet przebąkiwać o zwycięstwie. Jeremy Corbyn – „przyjaciel terrorystów”, „lewak”, „niepoważny działakowiec”, „niekompetentny, pozbawiony autorytetu i doświadczenia polityk z głębokich rezerw” (jak go określała prasa brukowa) w 10 Downing Street? Nagle niemożliwe stało się możliwe. 40 proc. poparcie robi wrażenie. Podobnie jak sprawna, przemyślana kampania i energia samego Corbyna. Ważniejsze jest jednak coś innego: lider Labour przełamał wszystkie, dotychczasowe zasady rządzące brytyjską polityką.

Podważył wyborcze paradygmaty dając nadzieję na to, że inna polityka i inna rzeczywistość jest mimo wszystko możliwa.

REGUŁY GRY

Polityka tak jak wiele innych sprofesjonalizowanych działalności rządzi się swoimi prawami. Są pewne niezmiennie, sprawdzone zasady i reguły. „Mądrości ludowe” czy też w tym przypadku „mądrości pismaków”. Te reguły nieco się różnią w zależności od tego z jakim krajem i z jakim społeczeństwem mamy do czynienia, ale wszędzie mają jedną charakterystyczną cechę – zasadniczo się sprawdzają. Na Wyspach jedną z takich „mądrości pismaków” jest przekonanie, że młodzi nie głosują. Owszem uczestniczą, czasem nawet aktywnie w kampaniach wyborczych, mobilizują się na serwisach społecznościowych, chodzą na manifestacje i protesty, kreują tzw. buzz, ale w dniu wyborów zostają w domach.

Tym razem było inaczej. Młodzi nie tylko robili memy, ale zaczęli robić politykę. W dniu wyborów wyszli z domów i skreśliли na lewo. Corbyn faktycznie ich zainspirował i zmobilizował. To jego osobista zasługa. I choć prawica twierdzi, że to tylko jednorazowy wybryk młodego pokolenia, oczarowanego propozycją darmowych studiów, to jednak polityczne przebudzenie młodych jest nieco głębsze. Już wcześniej, w Szkocji można było zaobserwować wzmożoną, polityczną aktywność młodzieży, w zeszłym tygodniu ten trend objął całą Wielką Brytanię. I ewidentnie oraz inaczej niż np. w Polsce młodzi Brytyjczycy są progresywni. A Corbyn, w przeciwieństwie do innych polityków lewicy, nie dał im powodów do wątpliwości w kwestii swojego zaangażowania w lewicowe ideały. A to dla młodych jest ważne. Wielokrotnie przecież zostali oszukani przez koniunkturalistów czy mówiąc ładnie „realistów”, którzy czerwone sztandary składali na ołtarzu centrum. Żeby nie drażnić mieszczan. Corbynowi ufają. Podobnie jak byli wyborcy Labour.

Kolejna zasada, która w tych wyborach miała się sprawdzić,

zakładała, że ci, którzy głosowali na UKiP przerzucają swoje poparcie na Torysów. Bo owszem wcześniej, przed pojawieniem się Nigela Faraga wspierali Partię Pracy, ale raczej ze względu na tradycję niż faktyczne poglądy. Panowała powszechna zgoda, że eks wyborcy Labour z Północy Anglii to „ukryci konserwatyści”. Ksenofobiczni, antyeuropejscy, reakcyjni i sprzeciwiający się progresywnym, liberalnym zmianom. Ale okazało się inaczej. Połowa z nich wróciła do Labour. Czy to dlatego, że nigdy tak na prawdę nie chodziło im o Brexit, a cały flirt z Faragem był jedynie wyrazem frustracji i formą protestu przeciwko całemu establishmentowi, to kwestia do zbadania. Ale wydaje się, że Corbyn odzyskał przynajmniej w części straconą wcześniej przez Blaira klasę robotniczą. Przełamał też zasadę, która mówi, że podzielona partia skazana jest na klęskę. Na Labour głosowali i ci, którzy Corbyna uwielbiają i ci, którzy uważają, że jest przekleństwem dla partii. Wreszcie przeciwstawił się najważniejszemu paradygmatowi, według którego w brytyjskiej polityce nie ma szans na sukces ten, któremu nie ufa się w kwestiach ekonomicznych. Tym razem dla milionów to nie miało znaczenia. Labour wciąż ma problem z zaufaniem w kwestii gospodarczych kompetencji, ale niespodziewanie w 2017 roku ta powszechna niewiara w Partię Pracy nie przełożyła się na mniejsze poparcie. Nie miały też większego znaczenia inne reguły: że nie można wygrać otwartym lewicowym programem, pozytywną kampanią, ani antytabloidalnym podejściem. Corbyn zakwestionował te prawidła i osiągnął sukces. Przedstawił mocno lewicowy manifest, unikał brudnych chwytów w kampanii i, co wręcz niespotykane w Wielkiej Brytanii, nawet nie próbował wzbudzić sympatii konserwatywnej prasy brukowej.

PARLAMENTARNY BOKS

Wszystko to daje podstawy do umiarkowanego optymizmu dla tych wszystkich, którzy uważają rząd Theresy May za katastrofalne dla Wielkiej Brytanii. Corbyn pokazał sceptykom, że może wygrać. Że zmiana lidera jest niepotrzebna i że klucz do

wyborczego sukcesu na Wyspach niekoniecznie znajduje się w centrum. Lider Labour rozbudził nadzieje nastawionych progresywnie wyborców. I od niego tylko zależy jak swój niewątpliwy sukces przełoży na parlamentarną praktykę. Bo gra o przyszłość Wielkiej Brytanii wciąż się toczy. A lider laburzystów, po euforycznym wieczorze wyborczym musi się wziąć do pracy, aby być skuteczną opozycją. To wręcz niewyobrażalne, ale Theresa May zachowuje się jakby nic się nie zmieniło. Mały szok w czwartek, niedowierzenie, ale zaraz lekkie przetasowanie gabinetu, nieformalna koalicja z reakcjonistami z Irlandii i business like usual. Żadnej zmiany polityki, żadnej refleksji w kwestii Brexitu, żadnej odpowiedzi na katastrofalny wynik wyborczy. Takie zachowanie, arogancja i wyparcie podważa nie tylko jej autorytet, ale również każe zastanowić się nad politycznymi kwalifikacjami premiera. To zaś otwiera szerokie pole dla opozycji. Opozycji, która w końcu jest zwarta, skonsolidowana i pewna siebie. Z liderem, którego przywództwa nikt nie kwestionuje.

Pytanie czy Jeremy Corbyn będzie potrafił płynnie przejść z kampanijnej rzeczywistości, która go uskrzydliła i pokazała jego najlepsze strony, do żmudnej, taktycznej walki w Izbie Gmin. Do tej pory w parlamentarnych potyczkach wypadał blado, a na manewry rządu odpowiadał z opóźnieniem. Nie potrafił politycznie zdyskontować ani chaosu po referendum, ani wpadek Theresy May. Teraz ma szansę.

May zachowała władzę, ale nie ma politycznej siły, zaplecza, ani autorytetu. Jest żywym politycznym trupem. Nie jest w stanie narzucić swojej woli własnej partii, parlamentowi ani krajowi. Jej urząd wisi na cienkim włosku. 13 milionów Brytyjczyków opowiedziało się zmianą i nadzieją w kolorze czerwonym. Jeremy Corbyn i Labour nie mogą zawieść tego zaufania.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: Cooltura.co.uk